Nr. 42. We Lwowie dnia 15. Października 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ
Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego
pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Ze wspomnień o Chopinie.

Pół wieku mija od chwili, gdy zgasło na obczyznie życie największego w naszym narodzie mistrza tonów, ale pamięć o nim nie zgaśnie nigdy u nas, ani na świecie. Ale sławy jego imienia nie przyćmi nigdy ręka czasu. Pójdzie ona z pokolenia w pokolenie coraz świetniejsza, wspanialsza, szersze zataczająca kręgi, niby słońce, do zenitu dążące.

A w tęczowych jej blaskach występuje coraz wyraźniej, tak niepodobne do innych, siłą kontrastów wabiące, czarem tragicznych losów owiane, a zawsze szlachetne, wyniosłe, piękne, oblicze duchowe twórcy mazurków i nokturnów.

Matka-natura stworzyła go pogodnym i wesołym, obdarzyła subtelnym dowcipem galijskim i nieco rubaszniejszym humorem swojskim. Gdyby więc był synem innego, szczęśliwszego narodu, gdyby druga połowa życia nie upłynęła mu na tułactwie, możeby pieśni jego brzmiały tak hucznie i raźnie, jak owe zapraszające na wesele skrzypce i basetla wiejska, które — wedle opowiadań — grały mu w chwili przyjścia na świat.

Ale Chopin był Polakiem, a życie nie szczędziło mu i osobistych cierpień. Bolał więc nieszczęściem własnem i upadkiem ojczyzny, którą uwielbił w swych tworach, — ojczyzny, której żałobę, łzy, protesty, wypowiedział tonem i dźwiękiem tak wymownie, że je cały świat zrozumiał. Schumann mówił o nim, iż dla tego porywa i czaruje, że jest tłumaczem ducha wielkiego narodu, chodzącego w owej chwili w żałobie, i że car powinienby zakazać jego muzyki, bo „dzieła Chopina, to działa, osłonięte kwiatami“ i wymierzone przeciwko niemu. A Liszt w ponurej, przerażającej muzyce Marsza żałobnego, słyszał cały majestat rozdzierającej boleści narodu, spoglądającego na własny pogrzeb, słyszał westchnienie, dobyte z miljonów piersi i zapytywał, czy i Chopin wobec tego nie miałby prawa powiedzieć o sobie, że „cierpi za miljony?“

Burze jednak, co go złamały, srożyć się zaczęły dopiero w południe życia, którego ranek był cichy i jasny.

Jako dziecko, a potem młodzieńczyk, Chopin każe się kochać swemu otoczeniu za niepospolite przymioty umysłu i charakteru, rozwesela je pociesznemi figlami i pierwszorzędnym darem komika, a zdumiewa i czaruje mistrzowską grą na fortepjanie, która przemawia zadumą pól mazowieckich, łka ich tęsknotą...

Zamiłowanie do muzyki budzi się w nim bardzo wcześnie. W pierwszych latach życia śpiew i gra na fortepjanie niezwykle utalentowanej matki pobudza dziecko do niedającego utulić się płaczu, potem stara się sam ją naśladować i powtarza wiernie zasłyszane melodje. Pod kierunkiem pierwszego i jedynego nauczyciela, Wojciecha Żywnego, rodem z Czech zaczyna komponować, nie umiejąc jeszcze nut pisać, — jako siedmioletni wirtuoz bierze udział w publicznym koncercie na rzecz ubogich i zbiera frenetyczne oklaski zachwyconych słuchaczy; w dziesiątym roku życia wprawia w podziw sławną Catalani, która go obdarza złotym zegarkiem z wymownym na kopercie napisem, a w czternastym ogłasza drukiem R o n d o C-m o l l, jako O p u s 1.

Praca nad muzyką, której oddawał się z uniesieniem, nie wyczerpywała tej nadzwyczajnej natury W Liceum warszawskiem, do którego uczęszczał od klasy 4-tej, zaliczał się do najlepszych uczni i brał co rok nagrody, — w wolnych chwilach układał prozą i wierszem wesołe komedyjki, w których sam występował z niesłychanem powodzeniem, zbierając pochwały od najbieglejszych znawców. Między innymi „znamienity ówczesny artysta dramatyczny, Wojciech Piasecki, zajmujący się, jako reżyser, układem tych amatorskich przed-

stawień, utrzymywał, iż Fryderyk dosadnością mimiki, śmiałością i przytomnością umysłu, wyborną deklamacją i darem łatwego przekształcania fizjognomji, był jakby stworzony na dobrego aktora".

Uważany za najweselszego w licznem gronie pensjonarzy swego ojca, Chopin uchodził za takiego i w kółku młodych romantyków, do których się zbliżył, pociągnięty wspólnością nastroju, dążeń, ideałów. Do kółka tego należeli między innymi: Konstanty Gaszyński, Stefan Witwicki, Nabielak, Bohdan Zaleski, Maurycy Mochnacki.

Wspólne zabawy, wycieczki, „długie nocne rozmowy", zacieśniały coraz bardziej węzły, łączące te wybrane duchy. A gdy znaleźli się w mieszkaniu Mochnackiego, literata i muzyka, posiadającego fortepjan i bibljotekę, wówczas najgorętsze uczucia ich piersi, najśmielsze wybuchy fantazji, znajdowały ujście w deklamowaniu poezji, improwizacjach, muzyce. Echo tych upojeń młodzieńczych pobrzmiewa w słowach Bohdana Zaleskiego, gdy po wielu, wielu latach wspomina:

Stefanie, serce mdleje,
Warszawscy dwaj muzycy,
Tych ucy czarodzieje
Szopenek i Maurycy.
Były to sławne gody!
Muzycy i wieszczowie
Od zdroju żywej wody
Ku Polsce lali zdroje!

Sława, którą Chopin cieszył się w ojczyznie, wybiegła wkrótce „za Chrobrego szranki, między Teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki". Drugie jego dzieło większych rozmiarów, warjacje na temat z Don Juana, wywołały niesłychany entuzjazm wśród młodych, zapalonych muzyków w Lipsku. Ten z pomiędzy nich, w którego ręce dostały się najpierw — opowiada Schumann — wpadł do kolegów z oznakami nadzwyczajnego wzruszenia, wołając rwącym się głosem: „Czapki z głowy, panowie: oto nowy genjusz!" A gdy zaczął grać przyniesione przez siebie nuty, wywołał ogólny zachwyt i zdumienie. Poznano — pisze Schumann — że to nie była kompozycja Beethovena ani Szuberta, ale nie znano nikogo trzeciego ze spółczesnych, ktoby tak komponować potrafił.

W sierpniu 1829 r., mając lat 20, dotknął ustami poraz pierwszy czary głośnego powodzenia, która dla większości artystów zawiera tyle upojeń, ale jego nie nęciła nigdy. Przybył do Wiednia „w wesołej kompanji" młodych przyjaciół, dla zobaczenia kawałka świata, poznania miasta, a najbardziej dla posłuchania innej, niż warszawska, muzyki, i tu, przynaglony przez znakomitości muzyczne, wystąpił dwa razy z koncertem w sali Kärtnerthorteatru. Czar jego oryginalnej, cudnej muzyki, podbił wszystkich słuchaczy. „Trzy razy brawo się wznawiało, gdym się ukazał na scenie — pisze po drugim koncercie. — Mojem Rondem ująłem sobie wszystkich z profesji muzyków. Zacząwszy od kapelmistrza Lachnera aż do stroiciela fortepjanów, dziwią się piękności kompozycji. Wiem, iż podobałem się damom i artystom. Gyrowetz, stojący blisko Celińskiego*), krzyczał i bił brawo... Uczonych i czułych ująłem. Nikt mię tu za ucznia brać nie chce. Blahetka**) powiedział, że się niczem tyle nie dziwi, jak, że ja się w Warszawie tego nauczyłem".

Powrót z Wiednia do Warszawy przez Pragę, której honory robił mu sławny Hanka, Cieplice i Drezno był prawdziwym pochodem tryumfalnym dla młodego maestra.

Śpieszno mu było jednak wracać do swoich, bo tam zostawił serce... Przedmiotem jego miłości, ognistej a nieśmiałej, była Konstancja Gładkowska, urocza śpiewaczka. Przez cały rok prawie kochał się w niej potajemnie, nie ośmielając się nietylko wyznać swych uczuć, ale nawet zbliżyć się do niej, przemówić. Jedynymi powiernikami młodego mistrza w tym pierwszym okresie był najpierw fortepjan, a potem wierny od lat najmłodszych przyjaciel, Tytus Wojciechowski. „Fortepjanowi gadam to, cobym tobie nieraz chciał powiedzieć... — pisze do tego ostatniego. — Mam mój ideał, któremu wiernie, nie mówiąc z nim, już pół roku służę, który mi się śni po nocach, na którego pamiątkę skomponowałem Adagio do mojego koncertu, który mi inspirował tego walca dziś rano, co ci posyłam".

Miłość dla pięknej Konstancji, która mu dała również natchnienie do drugiego Koncertu E-moll, wzrosła bardziej jeszcze, gdy się dowiedział, że jest kochany nawzajem.

I otworzył się wówczas przed nim, poraz pierwszy i ostatni w życiu, cichy raj szczęścia u siebie, z swoimi. Tkliwe przywiązanie światłych i zacnych rodziców, miłość ślicznej, czystej, gorąco kochanej dziewicy, przyjaźń szlachetnych sióstr i wybranego grona młodzieży, uwielbienie rodaków, które po koncertach pożegnalnych doszło do szczytu, praca twórcza dla sławy własnej i chwały narodu, — posiadał to wszystko, — a jednak odtrącił te skarby, usłuchał głosu kuszącego demona i poszedł w świat obcy, zimny, burzliwy, gdzie węże rozpaczy zagnieździły mu się w duszy, gdzie kosa śmierci przecięła nić jego żywota wówczas, gdy dzień był jeszcze...

Dnia 2 listopada, mając lat 21, żegnany pieśnią i łzami kochanych, opuścił Warszawę, aby już nigdy jej nie ujrzeć. I tylko serce jego, zabite męką, wróciło po latach do Ojczyzny w myśl słów Pisma: „Gdzie skarb mój, tam i serce moje..."

M. W.

*) Jednego z przyjaciół i towarzyszy podróży Chopina. **) Redaktor wiedeńskiej „Gazety muzycznej".

PORACHUNKI.

(Indywidualizm wybujały. — „Szkoła krakowska“.)

Lecz mistrz nie dowierzał, a odwrócony do nich tyłem, ważył myśli na głos: „W tworach swoich porzuciłem sferę myśli normalnej, sferę życia umysłowego, życia realnego. Poza głupim rozumem jest *coś* jeszcze więcej, coś wyższego — istnieje dusza, siła nieznana, obdarzona własnościami nadzwyczajnemi“. Azaż znajdą w sobie dość siły, aby wyzbyć się brzemienia wieków, ciążącego na ich umyśle i pójdą za mną? I jął pytać:

— Czy uwierzycie, iż „poza głupim rozumem jest *coś*....?“

— Jakoż!.... Zwłaszcza poza głupim!

— Nie o to chodzi. Gdy wydostaniecie się ze „sfery myślenia normalnego“, dopiero poczujecie, iż *coś*, co jest wewnątrz was, będzie zewnątrz was. Lecz czy wyprzysięgacie się rozumu i zdrowego rozsądku?

— Wyprzysięgamy.

— Wyprzysięgacie się obcowania z naturą i logiką?

— Wyprzysięgamy.

— Wyprzysięgacie się miłości ziemi i kultury?

— Wyprzysięgamy.

— Wyprzysięgacie się miłości bliźniego i cnót obywatelskich?

— Oj! oj!

Tedy Mistrz odwrócił się do nich twarzą, i, plwając, jak żydowin niektóry, gdy wymawia wyraz: c h o l e r a, co oznacza symbol duszy zadowolonej z siebie, rzekł:

— „Idźcie i nauczajcie! A będąc usprawiedliwieni z wiary swojej, strąćcie w przepaść każdego opornego z rozumu, a będąc usprawiedliwieni z rozumu swojego, strąćcie w przepaść każdego opornego z wiary! I niech każdy chodzi na głowie, i niech nogi jego, jako nogi u stołu, sprawują mądrość, i niech „ręce jego łkają“, i niech uszy jego, strzygąc, poświstują, i niech serce jego śpiewa i niech dusza jego będzie naga, pierwotnie czysta, jak u pra-człowieka i u bydląt niemych, które są bez grzechu, gdy pożerają dzieci swoje, aby głód zaspokoić, i zabijają bliźniego swojego, aby posiąść dobra jego i niszczą co stworzone przemysłem ludzkim, aby żyć szczęśliwie w stanie natury. I niech kobietom będzie wolno, co przystoi mężczyznom, i niech mężczyznom będzie wolno co przystoi kobietom, i niech będzie *nad-człowiek*, co oznacza hermafrodytę, który doznaje rozkoszy nawewnątrz i nazewnątrz, który czerpie mądrość, pływającą w wieczności uczuciem, a wszechświat cały ma w sobie. A gdyby też ludzie cywilizowani, którzy, jako istoty przewrotne, złączyli się w stado, by wielbić po swojemu prawdę, dobro i piękno, chcieli was pożreć, tedy, broniąc się, powiedzcie im, że niedorzeczność jest prawdą, nieszczęście dobrem, brzydota pięknem, i oni zastanowią się. A gdy was zapytają o cnotę, to powiedźcie im, że grzech wielki jest cnotą. A gdy was zapytają o uczynki, to powiedzcie im, żeby czekali cierpliwie, bo dopiero idziecie do uczynków. A gdy nie będą chcieli czekać, to plwajcie, jako ja plwam, i niech słowa wasze idą od śliny. A gdy zapytają was o życie doczesne i przyszłe, to powiedzcie im, że życie przyszłe jest doczesnem, a doczesne przeszłem, a teraźniejszości niema, bo jest tylko ruch, a ruch jest myślą, a myśl jest ruchem, jako sprawdzić możecie, patrząc na psa, gdy za ogon chce się schwycić, a nie może i kręci się w koło. Tak powiedział Zarathustra. Idźcie tedy na północ i na południe, na wschód i na zachód, do bogatych i biednych, i przybierzcie sobie lekkich duchem, i przysparzajcie Imieniowi memu sławy i znaczenia i przysparzajcie ludowi goryczy i nieszczęścia i niech każdy rozwiąże społeczeństwo swoje, a gdy będzie rozwiązane, wtedy rozraduje się dusza moja i zazieleni się serce moje i będzie dobrze, bo mnie będzie dobrze. I będę, jako poborca niejeden, który bierze, a nikomu nie oddaje, i będzie »Szkoła krakowska«.“

I uczniowie zobaczyli, iż twarz jego była z radości bladą, a oczy jego z pragnienia wysuwały szpony, i poszli w świat głosić, że twarz jego jest blada, a oczy suche, co oznacza pożądania czyste. I przyszli do miasta jednego, które głupcy nazywają „grodem syrenim“ i zaczęli kazać. Lecz ludność miejscowa urągała ich cnocie i naigrawała się z nagości ich duszy i wyświeciła ich z miasta, jako istoty brzydkie na obliczu i nieczyste wewnątrz. I byłoby się na tem stało. Lecz trzej młodzieńcy zabiegli im drogę za rogatkami i weszli z nimi w obcowanie uczuciowe i dusze ich zapłodniły się prawdą. A młodzieńcy ci, według spisu jednodniowego miasta Warszawy, są z zawodu siewcami myśli, a z imienia i nazwiska są: Władysław Jabłonowski, Władysław Rabski i Jan Zakrzewski!

A Władysław Jabłonowski sieje myśli w „Głosie“, a Władysław Rabski sieje myśli w „Kurjerze Warszawskim“, a Jan Zakrzewski sieje myśli w „Tygodniku Ilustrowanym“. I młodzieńcy ci, zapłodnieni prawdą, podążyli samotrzeć ku Krakowu, trzymając się oczyma drogi mlecznej, a gdy poczuli już swąd siarki, bijącej z jamy smoczej i krzyk pawia, wrzeszczącego w pogodę na niepo-

godę, poznali znak widomy „szkoły krakowskiej“ i weszli do kawiarni, otwartej w nocy, aby pokrzepić siły. A kawiarnia ta jest filją świątyni i znaleźli żywot ducha, bo oto Mistrz z uczniami swymi spełniał tam właśnie po północy, gdy pierwsze kury pieją, drugie śniadanie ofiary. I weszli z Nim w obcowanie uczuciowe i On dał im klucz zagadki.

»Kto powiada, że mnie rozumie, nie rozumie mnie zgoła, a kto powiada, że mnie nie rozumie, dopiero oddaje mi cześć należną. Wiedzcież: Na początku było słowo i słowo stało się dźwiękiem. Arystokracja ducha wyzbyła się mowy zimnej i logicznej, która jest mową tłumu, i porozumiewa się bezpośrednio duszami ognistemi«.

Jakoż?

— «He! he! he! Dusza trze się o duszę, wydaje dźwięk i to jest mowa bezpośrednia nadczłowiecza«.

— »Ten ci jest Mistrz nowego zakonu« — krzyknęli młodzieńcy i przystąpili do Niego i potarli swoje dusze zimne o Jego duszę ognistą i dusze ich ogrzały się i wydały dźwięk. I stali się misjonarzami nowej wiary, bo oto Mistrz wymienił z niemi strzępki swej »nagiej duszy« na monetę, kurs w kraju mającą i błogosławił ich na męczeństwo. I oni, szczęśliwi szczęściem wierzących, zatknęli sztandar jego ideału, znak »nagiej duszy« na murach Warszawy i ponieśli Jego krzyż, krzyż pożądań bestjalnych, pragnień osobistych, pychy bezmiernej i nienawiści bliźniego na Golgotę: t. j. na wzgórek, na którym skazanych ćwiczą biczem logiki, obrzucają kamieniami sarkazmu, poją żółcią ironji. A Władysław Jabłonowski czynił to z sercem melancholika łagodnego, rozdzierającego na sobie szaty, a Władysław Rabski czynił to z rozmachem sportsmana, trzaskającego z bicza, a Jan Zakrzeski wziął na się postać sędziego sprawiedliwego. I warszawianie poniektórzy, jedni, co czerpią mądrość swoją ze studni Głosu, drudzy, co czerpią mądrość swoją ze stawu Kurjera Warszawskiego, trzeci, co czerpią mądrość swoją ze sadzawki Tygodnika Ilustrowanego, i warszawianki poniektóre, jedne, co przyszły dopiero z ziemi Nod, drugie, co strzygąc nogami, chodzą o zmierzchu po ulicach, trzecie, co mają nosy krogulcze i piątą godzinę nazywaj five o'clok, a i ziemianin niejeden, co zbywszy się wioski rodzinnej, szlifuje swobodnie bruki, ucieszyli się bardzo misjonarzom »nagiej duszy« i podnieśli gwałt:

»Mamy nowy ideał! Mamy nową religję! Hejże na wyścigi z Krakowem! Będziemy chodzili na głowach! Będziemy urągali zdrowemu rozsądkowi i logice! Precz z cnotami obywatelskiemi! Niech żyje nowa wiara!... Pycha!... Europa!«

I słowo Ideał i słowo Cnota i słowo Obywatel i słowo Religja i słowo Krzyż i słowo Golgota, zostały sposponowane, sponiewierane, splugawione!

Hola! »Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę« — kto krzewi myśli dzikie, ten wywołuje czyny potworne. Dopóki panowie indywidualiści, moderniści, symbolicy, dekadenci, czy jak im tam zowią, domagali się jedynie swobody słowa i miejsca, jakie im się z prawa natury należy, nikt im nie odbierał głosu i nikt im w drogę nie wchodził. Symbolizm słów — taka dobra zabawa, jak każda inna, a im niedorzeczniejsza, tem pocieszniejsza! Doprawdy życie jest nie wesołe — warto poigrać!

Lecz przeciwstawianie bolów indywidualnych, pożądań chorobliwych, ambicji obrażonych jednostki cierpieniu ogólnemu ludzkości, społeczeństwa, czy narodu — to wyraz pychy arogantów, którzy, tarzając się rozpacznie na łożu własnej swojej niemocy, szukają ulgi duszy w igraszce pustych słów.

I cóż to kogo może obchodzić, że pragnienia jakiejś jednostki zmysłowe, czy umysłowe, nie są zaspokojone? A zresztą jaka na to rada? Ubogiemu można dać grosz, z głodnym można podzielić się kawałkiem chleba, ciemnego można oświecić. Ale co począć z rozpaczą dwojga kochanków czy małżonków, którzy się wzajem zdradzają? Jak młodzieńca, wątpiącego w zaraniu życia o skuteczności i pożytku nauki, powstrzymać od pesymizmu i melancholji? Jak poetę, brząkającego na gitarze trjoletów, posadzić na tronie świata, który mu w jego wyobraźni chorej, rzekomo mu się należy?...

Prawda, iż pragnienia niezaspokojone to trucizna dla duszy, stokroć może gorsza, niż trucizna materjalna, bo działająca powoli i bez przerwy, lecz któż wam każe pragnąć poza kresem waszych władz duchowych i waszych sił fizycznych? Barbarzyńskie pytanie — powiadacie?... To się nie skarżcie, nie jęczcie, nieróbcie zamętu i nie zatruwajcie życia tym, którzy rozwijają pragnienia w granicach możliwości i doskonalą się wewnętrznie dla siebie samych, a również i dla drugich. Na pragnienia jedna rada — ta, którą Krasiński podał w Resurrecturis:

Bądź arcydziełem nieugiętej woli!
Bądź cierpliwością, tą panią niedoli,
Co gmach swój stwarza z niczego — powoli!
W walce z tem piekłem świata, co się złości
Zawsze i wszędzie, bądź siłą, co skłania
Na śmierć silniejszą siłą ukochania!

A wy coście ukochali? Siebie? Swoje ja? I owszem: miłość własna może też czasem stworzyć coś wzniosłego. Checie »gmachu«? I owszem: stwórzcie go sobie sami, lecz nie żądajcie, aby społeczeństwo ustąpiło ze swojego na rzecz waszą, dla waszej »złości«.

Bo i na czemże polega całe to nieporozumienie między obrońcami ideału społecznego a rzecznikami indywidualizmu nad miarę wybujałego?

(C. d. n.)

Antoni Sygietyński.

MOMENT.

3) NOWELA

ELIZY ORZESZKOWEJ.

— Od rana tak siedzi, jak pień, do nikogo słówka wymówić nie chcąc!

— Już ja tam niejeden raz chodziłam, prosiłam, perswadowałam, wolę Boską przypominałam, a on nic! Jakby ogłuchł i oniemiał! W ziemię patrzy i dyszy ciężko, jak na śmierć obity pies!

— Syna takiego stracić, co już mu pomocnikiem i przyjacielem był. nie żarty! Ale zawszeż, żeby pomodlił się, z ludźmi pogadał...

— Może mowę mu odjęło!

— Albo rozum?

— Patrzcie tylko, moje kochane, jak on pięścią wygraża się w powietrzu! Zupełnie jak warjat!

— A bo i ksiądz proboszcz, jak ztąd odchodził, powiedział: „Bieda z tym człowiekiem! Jeżeli nie zapłacze, może zwarjować!“ Mówił do niego długo o różnych świętych rzeczach, modlitwy mu czytał, aż przybiegli wołać go, żeby jechał do chorego, więc poszedł i mnie samej powiedział: „Bieda z nim! Jeżeli nie zapłacze i nie pomodli się, może zwarjować!“

Ten, o którym kobiety szeptały, siedział ciągle, jak kamień, czasem tylko pięścią ściśniętą komuś lub czemuś w powietrzu grożąc. Nie patrzał na księżyc, ani na krzyż, którego ramiona, wyciągnięte nad dachami domostw, widać ztąd było w coraz jaśniejszej mgle księżycowej.

Nie patrzała także na krzyż, choć przez malutkie okno widziać go mogła, kobieta w izdebce ciasnej, na bardzo ubogiej pościeli leżąca. Promień księżyca padał na głowę, która w gęstwinie czarnych włosów zagłębiała się w poduszkę, z twarzą obróconą ku grubym belkom sufitu, wśród których żyły mnogie ludy pajęcze i musze. Na wychudłych rysach paralityczki, w ustach jej zaciętych, w oczach, ciemnym ogniem gorejących, malowała się ponura złość i rozpacz. Od paru już lat leży tak w tej izdebce sama jedna, przez litość ludzką żywiona i doglądana, wiecznie sama jedna i czegoś potrzebująca, a nie mająca. Srogie bole ciała mniej udręczenia jej sprawiają, niż ta szyderska gorycz, której ma pełne usta i serce. Bo czyż podobna, aby ją tak zapomnieli i opuścili wszyscy, których kochała i którym służyła? I gdzież są ci, których dobra strzegła, żądania spełniała, choroby pielęgnowała, straty opłakiwała, jak własne? Bezwładne nogi bolą ją często, lecz jeszcze częściej samotne i zawiedzione serce. Po całych dniach i nocach leży tak sama jedna, czasem głodna, wspominając i tęskniąc, myśląc:

— Czy ludzi dobrych niema na świecie? Czy Boga niema w niebie?

Raz noc jakaś, straszniejsta nad inne, odpowiedziała:

— Chyba niema!

I od tej nocy złość przedtem nieznana żądłem żmiji kąsa jej serca, i przekleństwa, których dawniej nie było w niej ani śladu, jak gady ogniste przepełzają przez głowę. Żebyż choć ciszę i spokój miała! Ale gdzietam! Ot i teraz jakąś piekielną wrzawę u samych jej drzwi podnosi właścicielka tej chaty z nędzną swą lokatorką! Obie są nędzarkami. Ta Obuchowska chatę ma, lecz po dach zanurzoną w długach, a tamta druga dzieci dwoje, ale których karmić czem nie ma. Wiecznie też szczęście swoje nawzajem sobie wyrzucają.

— Żebym ja miała chatę własną, czegobym więcej chciała! — mówi jedna.

— Żebym ja miała dzieci, czegobym więcej chciała! — odpowiada tamta.

— Niech pani moje dzieci wyżywi i przyodzieje!

— A ty zapłać moje długi!

I od słowa do słowa wszczyna się hałas ot taki, jak w tej chwili. Boże! jak krzyczą i jakiemi słowami obelżywemi wzajem na siebie, jak gradem brudnym, sypią! I słuchać tego trzeba, uciec nie można!

W głowie, która coraz ciężej zagłębiała się w poduszkę, przewinęło się przekleństwo, które zcicha powtórzyły spieczone wargi. A potem powstały w niej zapytania:

— Czy ludzi dobrych na świecie niema? Czy Boga niema w niebie?

Aż mętna, ponura, do cielska chmury ciężkiej podobna, przypłynęła myśl:

— Chyba niema!

I przed oczami paralityczki zasłoniła przerzynającą mgłę księżycową, wysoką linję krzyża.

Księżyc ukazał się z za czarnej ściany kościoła i zwolna płynąć zaczął ku szczytowi jego wysmukłej wieży. Pod ogrodzeniem kościelnem, to znikając w cieniu drzew, to wynurzając się zeń na światło, przesuwała się postać bardzo drobna i szczególna. Był-że to

karzeł, z tułowiem potwornie rozrosłym, albo garbusek, którego drobne nogi z trudnością dźwigały plecy ogromnie wydęte?

Było to dziecko, niosące na plecach ogromny wór kartofli. Z trudnością niezmierną brzemię to dźwigając, pełzło raczej, niż szło, z twarzą, zwieszoną ku ziemi i oczyma utkwionemi w ziemię. Czasem postękiwało z cicha, lub niżej jeszcze głowę pochylało ku rękawowi koszuli, którym ocierało z twarzy pot, czy łzy. Owad mizerny, ciągnący ku gniazdu ciężar od niego samego większy, malutki Abel, na którego jakiś Kain ciężar ten zwalił — symbol ludzkości, dźwigającej na barkach brzemię swojej doli!

Z coraz większą trudnością dźwigając i coraz niżej chyląc się ku ziemi, dziecko z worem kartofli na plecach wypełzło z pod ogrodzenia kościelnego, przepełzło odkrytą przestrzeń rynku, i — jak człowiek z brzemieniem swem w czeluści grobu — zniknęło w wązkiej i ciemnej uliczce.

Wtedy księżyc ominął już szczyt wieży kościelnej, i z pośrodka nieba lał na ziemię powódź światłości jasnej, czystej, srebrnej, niewymownie słodkiej.

Rozciągnął także kobierzec srebrny na grubej podłodze i kroplami srebra napełnił ciemne kąty gościnnego pokoju w zajezdnym domu Mendla Szapiry, ale kobiety, która z twarzą zanurzoną w poduszce leżała na żółtej kanapie, najmniejszym promykiem nie dotknął. W cieniu i nieruchoma wydawała się pogrążoną we śnie, albo w takiej otchłani zamyślenia, w której dna nie widać i nie słychać świata.

Jednak ze świata, zdala, uszu jej doleciał dźwięk pocztowego dzwonka, bardzo słaby, potem coraz wyraźniejszy. Ktoś tam jedzie tą drogą, przez pola biegnącą, którą ona tu przybyła, ale co ją to wszystko na świecie obchodzić może? Wtem, ostrzem sztyletu serca jej dotknęła najniespodziewańsza dla niej z myśli:

— Może to on...

Ostatnie słowo myśli utonęło w krótkim śmiechu ironicznym, który wzięła w siebie róża monstrualna, wyszyta na starej poduszce. Ironja śmiechem parsknęła w oczy sercu, które zdobyć się mogło na tak nierozsądną, szaloną nadzieję. On tu? Po co? W pogoni za nią? Trzebaby na to cudu!

Odgłos dzwonka stawał się coraz silniejszym, zbliżał się coraz więcej. Kobieta podniosła głowę; wyprostował ją słaby, lecz nieodparty szept najnierozsądniejszej z nadziei.

— Może...

A ironja znowu w twarz nadziei parsknęła śmiechem.

— Ananasy! Rajskie ptaki! Drzewa śpiewające i wody leczące! Bajki! On miałby za tobą, dla ciebie tu... Cudu by trzeba!

Dzwonek stał się prawie przeraźliwie głośnym i umilkł — przed gankiem zajezdnego domu Mendla Szapira. Kobieta ruchem nagłym podniosła się z kanapy.

— Tu!...

Był to okrzyk nadzieji, który ironja zdławiła pytaniem:

— Więc cóż? Alboż to raj wybranych? Upamiętaj się! To dom zajezdny!

Nie! Nie! Czyjeś kroki w sieniach... i głos! Czyj? Boże! To jego głos! Jej imię wymawia! O nią zapytuje? Cud stał się.

Krawędź stołu ściskając mocno w delikatnej dłoni, z cieniu, w którym stała, głowę wychyliła na światło księżyca.

— Pan... tu?

Powiedziała to, jak człowiek, który widzi, ale oczom nie dowierza. Jednak było to prawdą. Po srebrnej płachcie, zaścielającej podłogę, prędko szedł ku niej i podał jej rękę.

— Pan tu? Jakim sposobem? Dlaczego?

— Jakim sposobem? dlaczego? — powtórzył tym głosem, o którym myślała, że nigdy go już nie usłyszy, i zaśmiał się tym śmiechem, za którego perłowe dźwięki oddałaby chętnie huczne oklaski, których pełno bywało wszędzie, gdziekolwiek bywała.

Siadając, wesoło i swobodnie, z radością w głosie, mówił:

— Panią dziwi, że tu przyjechałem? Dlaczego to panią dziwi? Rzecz tak prosta! Nie znalazłem pani tam, gdzie zostawiłem, i puściłem się w pogoń za zbiegiem. Byłbym tak, dowiadując się, zapytując, jechał aż za granicę świata, bo na sam koniec jego, zdaje się, że już przybyłem. Lecz bagaż, który przywożę ze sobą, pełen jest gniewu, kłótni, wyrzutów...

O gniewie i kłótni mówiąc, ruchem wytwornym wziął jej rękę i do ust przycisnął. W nizkiem pochyleniu się pięknej głowy była cześć, w długim pocałunku ust gorących — miłość. Jedną i drugą uczuła, i zwiędła w przebytej męce, rozkwitła rumieńcem i uśmiechem: lecz od nagłego załamania się linji losu drżąca jeszcze rzekła:

— Gniew! wyrzuty! Za co?

— Za niepokój ogromny, zawód, tęsknotę, żal...

— Czyje?

— Pani nie odgaduje? nie domyśla się? nie wie?

— Domysły i odgadywanie napełniały mi tak długo wszystkie dni, miesięcy i wszystkie minuty d[illegible]...

— Mnie także... — przerwał.

— Więc pan nie wiedział? — zapytała.

— Wiedziałem zrana, zwątpiłem wieczorem. Każda minuta przynosiła mi zapytanie: czy podobna? A druga odpowiadała raz: „to jest“, a dziesięć razy: „to być nie może!“

— Moje minuty tak samo z sobą rozmawiały...

— Pani tak sławna!.. Ja, z roju owadów zupełnie do siebie podobnych...

— A pan z tak wysoka... ja zaś ze stada ptaków, których śpiewu wszyscy słuchają chętnie, lecz z któremi w parze nikt długo lecieć nie chce, może dlatego, że lot ich zbyt górny...

— Milczałem, myśląc: nie jestem godny: W pokorze mojej była duma.

— A ja myślałam: nie jestem kochana! Milczałam. Czekałam słowa...

— I nigdy, nigdy, w tych długich, drogich, niezapomnianych rozmowach naszych nie zaplątało się ono na ustach pani, ani moich...

— I nigdy w tych długich, cudnych, najdroższych godzinach, któreśmy z sobą spędzili, nie było minuty, w którejby „serce do serca mówiło“!

(D. c. n.)

LISTY

J. LELEWELA DO J. N. JANOWSKIEGO

2) **z lat 1834—59.**

30 czerwca 1847.

Obywatelu!

Kiedyś się przed laty uchylał z wysokich dostojeństw, dałeś powód wielkiego strudzenia. Pozwolisz tedy, że ja w siódmym krzyżyku wymówię się rzetelnem i ciężkiem strudzeniem niewystałą może, bo parę dni odwleczoną odpowiedź.

Zdarza się czasem podobne żądaniu Twemu zadosyć czynić wymagania i z duszy z serca radbym Twoim dogodzić. Ale wystaw sobie dziś, jakie to moje położenie pisywać do osób, u których usilne starania i zabiegi ziomków różnych, z różnych powodów siliły się mnie dekonsiderować. Zapewne wiesz z tego cokolwiek, ale nie wiesz wszystkiego.

Wymieniłeś mi kilku, abym się do nich zgłosił. Cremieux jest mi wcale nieznany. Znam tylko tych, co mnie zaocznie jego pojęciu rekomendowali! Cremieux o moim bycie na świecie może nie wie, a może wiedzieć nie chce. Z Arago także osobiście się nie znam, za mej w Paryżu bytności on był literatem. Wiedząc, że był dobrze uprzedzony od mych przyjaciół, zgłaszałem się stąd i po literacku i w interesie jednym: na jedno i drugie przyzwoitość by kazała odpowiedzieć — i nie zrobił i nie odpowiedział. Nie mam tedy ochoty do niego znowu się zgłaszać. Odmówiłem niedawno podobnego zgłoszenia się. Jeślibyś koniecznie chciał, zrobiłbym to, ale po przeszłem doświadczeniu przeświadczony jestem, że to by spudłowało.

Odillon Barrot jest to jedna z najpierwszych po Lafayecie znajomości, przy uczcie zabrana. Za mej bytności w Paryżu widywaliśmy się: czyśmy się sobie podobali, nie wiem — rozmawialiśmy oziębłe. Opinje różne — wiem — doń podbiegały. Od ustępu z Paryża nic między nami nie zaszło, dość chętnie tedy do niego piszę, może, może to i dobrze będzie. Napisz do niego sam i mój załącz, tak otwarty lub zapieczętowany, jak Ci się podoba. Mógłbyś, jako hommage załączyć i dziełko swe, po francusku wydane.

Co do Lafayettów w błędzie jesteś, gdy ich braćmi zowiesz. Zeszły w Bogu miał tylko jedynaka George'a, a ten ma koło 60 lat. Drugi tego imienia jest młodzieniaszek. Sądzę, że to George'a syn. Żeby stary żył, nie wzdragałbym się przy mem sfatygowaniu dziś drugi odpis niniejszy opóźnić, aby list wygotować. Ale do George'a lękam się zrządzić Ci opóźnienie, a gdy dziś na tyle się zdobyłem, o George'u zapomniałem: w swoim czasie po 3 godziny rozmawialiśmy o cholerze.

Wielu znajomych pomarło: wielu pozapominało. Pięknyś projekt ukartował dla siebie i szczerze bym życzył, aby mógł mieć jaki skutek. Ależ to musi być konkurentów przynajmniej tylu, co deputowanych. Rzucasz się tedy w gonitwę olbrzymią.

Pozdrowienie.

Lelewel.

Adres na kopercie, zrobionej z ryciny Lelewela pt.: Bolesława Śmiałego grobowy pomnik w Ossiaku:

Monsieur Jean Janowski
Place du marché aux oeufs 5
Louviers
Eure.

1 stycznia 1849.

O długu zaciągnionym nieodpowiedzi, o jakim, szanowny Obywatelu nadmieniasz, nie pomnę, bo sobie nie przypominam, czylim w swoim czasie doniósł, jak zamierzałem, że Odillon Barrot, nie ociągając się, do mnie się zgłosił z oświadczeniem swej nieskutecznej gorliwości. Chciałem Ci kopję listu, którym mię uhonorował, przesłać, ale było mi w myśli, że prostszą drogą byłeś objaśniony i to pewnie mi z myśli zawiadomienie Ciebie wybiło. W starości i strapieniach nie rzadko mi zapominać.

Nadmieniasz o swoich z Centralizacją stosunkach, żeś uchodził za Judasza. A pocóżeś mnie za Judasza poczytywał? Dlatego, co oni? Żem im zawadzał moją nieaprobatą ich polityki. Kiedy przez wzgląd na okoliczności, gdy tego — jak mówisz — interes publiczny wymagał, następowała w ostatnich czasach rekoncyljacja, żądali mej opinji. Skreśliłem ją, wyrażając, że dlatego nic się nie stanie, że to ja piszę, po co pytacie? I tak się stało. Ani jednego kroku stosownie do mej braterskiej życzliwości nie uczyniono. Ale o tem trudno pisać, bo pióro ma co innego do roboty i nie zdoła rozpisywać się w nieowocne wymówki — a kiedyś bodaj będzie źle!

Co do mnie nie tracę nadziei, ale nie widzę tak rychłej, jak zapowiadasz. A stary jestem! Czy doczekam? Niedawno dopiero dowiedziałem się, że mnie do Lwowa — niewiadomo poco — wzywano. Wezwanie to niedoszło. Z odebranych niektórych zgłoszeń się widno, że i inne niektóre niedoszły. I czy moje jakiekolwiek do Lwowa doszły, dotąd nie mam pewności.

Wdzierców nie cierpisz słusznie i chcesz wdzierstwu koniec położyć, zamiar bardzo piękny. Ale gdzie granice wdzierstwa? Rzadki jest pojedyńczy uzurpator, pospolicie jest wypadkiem zmowy. Wdzierstwo więc leży w zmowie wieku, w towarzystwach, w mniejszości. A gdy w wotowaniu większość bywa mniejszością ogółu, wdzierstwo czyli mniejszość samem wotowaniem legalnie swego dopina.

Gdybyśmy w jednem miejscu zasiedleni byli, i widywali się często, mielibyśmy wiele kwestji do rozważania np. o konstytucji monarchicznej republiki nowej — dyskutować pismem nie podobna.

Wzajemnie mię polecam sercu i dobrej pamięci

Pozdrowienia i służby.

Lelewel.

Adres:

Monsieur J. N. Janowski rue de l'école de médecine 19

(D. c. n.) Paris.

Z pism i książek.

Oba pisma, poświęcone sprawom młodzieży szkolnej, *Promień i Teka,* wystąpiły — po wypoczynku wakacyjnym — z nowym zasobem sił na linję działania.

Teka we wstępnym artykule: „Między lud“, wzywa do pracy dla dobra młodszych braci, kończąc wezwanie okrzykiem: „Hej, za oskardy — zwalić mur ciemnoty. Tam świta jutrzenka swobody — zbawienia za nią słońce“. Dalszy z koleji artykuł streszcza znaną czytelnikom „Tygodnia“ broszurę: „Chłopi i akademicy duńscy“, jak również znany jest im z treści zajmujący referat dr. Zofji Daszyńskiej: „Czemu zarobki kobiet są tak niskie?“ — wygłoszony na Zjeździe Polek w Zakopanem, a podany w *Tece* w dosłownem brzmieniu. Na karb zasług pisma policzyć należy poruszenie w poważnie napisanej rozprawce: „O obowiązkach młodzieży polskiej w zaborze pruskim“ — spraw młodzieży Wielkopolskiej, z którą jak najmniej mamy łączności, chociaż nas od niej nie dzielą moskiewskie bagnety i — gorsza może od nich — moskiewska cenzura. Kronika i beletrystyka dopełniają treści ostatniego zeszytu *Teki.*

Promień, wierny swemu tytułowi, śmiało uderza w grubą zasłonę ciemności, którą „sfery miarodajne“ chcą spowić Galicję i w artykule: „Walka z oświatą“ wykazuje krwawe krzywdy, które się dzieją u nas w tym kierunku młodzieży wszystkich stanów, a zwłaszcza najuboższych. Dalszem poniekąd rozwinięciem myśli tu zawartych, jest treść rozprawki: „Nauki przyrodnicze w galicyjskich szkołach średnich“. Zmierzch jednak, na który uskarżają się autorowie wyżej wymienionych artykułów, wydaje się blaskiem w zestawieniu z cyniczną negacją wszelkich wymogów tak pedagogiki, jak dydaktyki, o której mówi rozpoczęta opowieść: „O internatach w gimnazjach w Królestwie Polskiem“.

Bardzo zdolne pióro i żywy umysł zdradza korespondencja, p. t.: „Wrażenia i refleksje wakacyjne“. Autor umie patrzeć na życie, jak człowiek w doświadczenie bogaty i — co więcej znaczy — umie czuć gorąco.

Braku uczucia nie można zarzucić i szczerym młodym pieśniarzom, którzy nadesłali utwory na konkurs ogłoszony przez Redakcję *Promienia*, ku uczczeniu półwiekowej rocznicy zgonu Słowackiego. Poezji nadesłano na konkurs aż — tuzin. Redakcja osądziła jednak, że tylko trzy godne są szaty druku i te podała w omawianym numerze.

M.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.